

TYDZIEŃ

KULTURALNO-LITER. DODATEK „GŁOSU NARODU“

Rok II

Kraków, niedziela, dnia 12 grudnia 1937 r.

Nr 50

Dr Kazimierz Maślankiewicz (Kraków).

Z dziejów wypraw polarnych

II.

Odkrycie przez Krzysztofa Kolumba lądu amerykańskiego wywołało nie tylko wielkie zainteresowanie w całej Europie, lecz dało także początek wyprawom państw zachodnio-europejskich, które rozpoczęły podbój i kolonizację Nowego Świata. W tym czasie Rosja rozpoczęła wyprawy do nieznanego niemal zupełnie dotąd północnej Azji. Historia podboju Syberii rozpoczęła się jeszcze w XI wieku, lecz wojskowe wyprawy rosyjskie objęły północno-zachodnią część Syberii, nie docierając do Syberii właściwej. Dostyc wcześnie jednak nawiązano stosunki handlowe pomiędzy Rosją a „wschodnim krajem“, leżącym po drugiej stronie Uralu. Główny trakt handlowy prowadził przez Ural, drugą natomiast drogę stanowił Ocean Arktyczny. Z początku jednak XVII wieku ukazał się zakaz komunikowania się z Syberią drogą morską; w ten sposób zamierzano przeciwdziałać zwiększającemu się przemysłowi.

DO PÓŁNOCNEJ AZJI

Od końca wieku XVI datują się podboje Syberii przez Kozaków, z których najgłośniejsza była wyprawa pod wodzą atamana Jermaka, zwanego nawet zdobywcą Syberii. Wyprawy te trwały przez cały wiek XVII i na rzecz Rosji zaanektowały olbrzymie obszary bogatej Syberii. Pewien udział w kolonizacji tych mało zamieszkałych przestrzeni brali i Polacy. W czasie licznych wojen, jakie wtedy prowadziła Polska z Rosją, wielu Polaków wziętych do niewoli na polu bitew lub uprowadzonych z rodzinnych pogranicznych posiadłości wywożono w odległe nowo zdobyte obszary i osadzano na roli lub skazywano na roboty w kopalniach, które zaczęto zakładać w tym przebogatym w różnorodne płody kopalne kraju.

Wśród pierwszych kolonistów Amuru, który został zdobyty w połowie XVII wieku, nie mała rolę odegrał Polak, Nicefor Czernichowski, wyniany wraz z innymi jeńcami w r. 1632 do Jenisejska, gdzie musiał pełnić służbę wojskową. — W okresie późniejszym zajmował stanowisko inspektora kopalni soli w jednej z warowni nad rzeką Leną. W r. 1665 napadł on z towarzyszymi na wojewodę ilimskiego i zabił go, mszcząc się za porwanie siostry, która odznaczała się wielką urodą. Oswobodziwszy siostrę zmuszony był Czernichowski ratować się ucieczką. Na miejscu dawnej zburzonej osady zbudował nową, którą nazwał Jaksą. Ta polska nazwa utrzymywała się przez pewien czas i zachowała się na starych mapach chińskich.

Piotr Wielki, który poświęcił wiele energii dla rozszerzenia wiadomości o obszarach należących do Rosji, postanowił bliżej zbadać i dalekie kraje Azji. W czasie swego pobytu w Holandii, gdzie studiował postępy żeglarsstwa, miał sposobność spotkać się również z rozważaniami na temat połączenia Azji i Ameryki północnej. Kierownictwo wielkiej wyprawy do północno-wschodniej Azji zostało powierzono Witusowi Beringowi (1610—1741), Duńczykowi będącemu w służbie rosyjskiej. Ostatnimi zarządzeniami Piotra Wielkiego przed śmiercią były instrukcje dla tej wyprawy. Jego następczyni Katarzyna I. rozkazała bezzwłocznie wypełnić ostatnie życzenia zmarłego. W r. 1725 wyruszyła pierwsza wyprawa pod kierownictwem Beringa. Wynikiem tej wyprawy, trwającej pięć lat, było zbadanie wschodnich wybrzeży Azji północnej, a przede wszystkim Kamczatki i odkrycie wielu wysp, jak Aleutskich i Komandorów. Zasadą Beringa było również przepłynięcie cieśniny, która dzisiaj nosi nazwę cieśniny Beringa i udowodnienie w ten sposób, że pomiędzy północną Ameryką a Azją nie ma lądowego połączenia.

Wyniki tej wyprawy zachęciły rząd rosyjski do zorganizowania nowej wielkiej wyprawy, która trwała całe dziesięć lat. Była to „Wielka Wyprawa Północna“ w latach 1734—1743, której dowódcą znowu został kapitan-komandor Bering. —

W skład wyprawy wchodziło 600 ludzi, w tym wielu uczonych europejskich. Wyprawa ta pochłonięła wiele ofiar w ludziach, zginął także i komandor Bering. Rezultatem tej wyprawy było zajęcie całego polarnego wybrzeża Azji i odkrycie północno-zachodniej Ameryki. Wyprawa przyniosła także wiele obserwacji z dziedziny klimatologii, geografii fizycznej i przyrody polarnej. Żałować tylko należy, że większość tych tak ciężko osiągniętych wyników naukowych spoczęła w państwowych archiwach w Petersburgu, zamiast ukazać się w druku i stać się własnością całego świata.

Szereg uczonych rosyjskich rozpoczęło badania mało znanych, rozległych północnych obszarów. Z obcych należy wymienić przede wszystkim uczonych niemieckich, a mianowicie Piotra Pallasę (1741—1811), który przeszedł całą Syberię i Aleksandra Humboldta (1769—1835), który w latach 1819—1820 dokonał wielu badań geograficznych w Syberii i Azji Środkowej. Do dalekich wód północy docierają z końcem wieku XVIII sławni podróżnicy James Cook i Karol Clerk. Przybywszy z Oceanu Spokojnego dotarli do drogi wskazanej przez Beringa i zamierzali przedrzeć się przez Ocean Lodowaty. Zwarte masy lodu zatrzymały jednak śmiałych żeglarzy, którzy zgodnie uznali, że nie ma przejścia tą drogą i że Ocean Lodowaty nie nadaje się do żeglugi wskutek pokrycia lodami nie do przebycia. Znany uczony i podróżnik Karol Baer nazwał Morze Karskie, które stanowiło dojście z mórz Europy do Arktycznego Oceanu Azji „lodownią północy“ i na dłuższy czas utrzymywało się przekonanie, że Morze Karskie jest pokryte wiecznym lodem i że nie można myśleć o przejściu północno-wschodnim, którego tak gorliwie poszukiwali Anglicy jeszcze w wieku XVI.

Sergio Corazzini

Dialogo di marionette

— Czemuż, małeńka królewno, każesz umierać mi z chłodu?
Stary król śpi już napewno, więc pozwól, abym z ogrodu na balkon wspiął się do góry...
nachyl się, podaj mi ramię.
— Ach, przyjacielu mój luby, balkon jest przecież z tektury, napewno się załamie...
Czyż naszej wspólnej chcesz zguby?
— Więc może dla mnie rozpleciesz te twoje włoski złociste?
— Dziwne żądanie zaiste.
Mój ty poeto, — patrz: przecież w perukę zdobna ma główka.
— Przepraszam.... Tak?...

— A tak.

— Zatem

czekam na słowo łaskawsze, jeśli nie rzekniesz mi słówka, pożegnaj cię na zawsze.

— Doprawdy jesteś wariatem.

A takiś był chłopiec chwacki...

— Ach, nie żal ci owej schadzki

i tej ostatniej rozmowy

w dąbrowie tekturowej?

— Już nie pamiętam...

— Królewno,

żegnam...

Co? Idziesz w swą drogę?

Niestety — płakać nie mogę:

miast serca mam w piersi — drewno.

przełożył KAZ. RYCHŁOWSKI (Lwów).

TRAGIZM NORDENSKIÖLDA.

Jedynie ludność miejscowa trudniąca się połowami morskimi wiedziała, że w pewnych okresach i ta część mórz jest wolna od lodów i dostępna żegludze. Potwierdziły to europejskie wyprawy rybackie z lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, które znalazły na tych wodach wielkie obfitości ryb i fok. Dopiero znakomity szwedzki uczone i podróżnik Adolf Eryk Nordenskiöld (1832—1901) wykrył przyczynę dawniejszych niepowodzeń. Stwierdził on, że lód syberyjski utrzymuje się aż do sierpnia i dopiero w tym miesiącu topnieje głównie pod wpływem wód północnych rzek Obi i Jenisseja. Dawniejsze wyprawy przyjeżdżały za wcześniej lub za późno i zastając zwartą pokrywę lodową musiały rezygnować z dalszej podróży i wracać. Nordenskiöld, który był doświadczonym żeglarzem i brał już kilkakrotnie udział w wyprawach polarnych, postanowił brzegiem północnej Azji przepłynąć z Oceanu Atlantyckiego do Oceanu Wielkiego. Dzięki życzliwemu stanowisku króla i parlamentu oraz prywatnej ofiarności zakupiono dla projektowanej wyprawy statek „Vega“ i wyposażono go starannie w daleką podróż. W r. 1878 wyruszył Nordenskiöld z zamiarem dotarcia aż do zachodnich brzegów Ameryki północnej. Wyprawa opłynęła całą Azję północną i dotarła szczęśliwie w myśl powziętego planu aż do cieśniny Beringa, gdzie jednak statek został otoczony przez lody, w których musiał przebyć okres 10 miesięcy. Po upływie tego czasu, który spędzono na pracowitych i systematycznych obserwacjach naukowych okolic półwyspu Czukockiego, statek ruszył w dalszą drogę na wschód i następnie wrócił szczęśliwie do Szwecji, gdzie został entuzjastycznie powitany. Zagadnienie przejścia północno-wschodniego zostało w ten sposób rozwiązane. Stwierdzono jednak, że i to przejście, podobnie jak przejście północno-zachodnie, nie może mieć znaczenia praktycznego wskutek bardzo ciężkich i niebezpiecznych warunków żeglugi. Po latach korzystnych dla żeglugi następują takie, w których ilość lodów pokrywających Morze Arktyczne jest zbyt wielka i nie pozwala na żeglugę. Wyprawa Nordenskiölda nie należała do łatwych i przez długie lata nie była przez nikogo powtórzona.

Brak wiadomości o wyprawie Nordenskiölda, który o rok niemal musiał opóźnić swój powrót wskutek przymusowego zimowania, zaniepokoiło świat naukowy i powszechną opinię. Specjalny statek ratunkowy wysłany przez Rosjan dla odzyskania statku szwedzkiego uległ rozbiciu przy brzegach Japonii. Wtedy wydawca dziennika amerykańskiego „New York Herald“ Gordon Bennet, który poprzednio stał się głośny przez wysłanie ratowniczej ekspedycji afrykańskiej Stanleya dla odzyskania Livingstone'a, zorganizował wyprawę, mającą odzyskać Nordenskiölda. Drugim śmiałym celem tej wyprawy miało być dotarcie do bieguna północnego. Statek „Jeanette“ pod wodzą de Longa dotarł do cieśniny Beringa, skąd przed dwoma tygodniami Nordenskiöld uwolnił się z lodów i popłynął na południe. Wtedy de Long wyruszył na północ odkrywając trzy nowe wyspy: Jeanette, Henriette i Bennetta, które obecnie noszą nazwę archipelagu de Longa od nazwiska odkrywcy. Nadchodząca surowa zima polarna szybko ścięła wody pokrywę lodową i uwięziła statek. — Przez 21 miesięcy statek „Jeanette“ był więziony w lodach, które niosły go z prądami i wichrami w kierunku północno-zachodnim. Na ciężko uszkodzonym statku musiano bez przerwy 17 miesięcy wypompowywać wodę, by nie dopuścić do zatonięcia. Wreszcie napór lodów był zbyt silny i w czerwcu 1881 r. statek poszedł na dno. Załoga musiała szukać ratunku na łodziach. Z trzech łodzi jedna przepadła w czasie gwałtownej burzy, dwie inne dotarły do ujścia Leny. Część załogi wraz z samym dowódcą zginęła wskutek silnych mrozów i braku żywności, tylko trzynastu niedobitków dotarło do osiedla tunguskiego, ratując w ten

sposób swe życie. Zorganizowana przez nich pomoc dla ratowania de Longa i jego grupy znalazła tylko zamrożone trupy.

Ta tragiczna wyprawa nie tylko nie odstraszyła innych badaczy polarnych, lecz stała się punktem wyjścia jednej z najzuchwalszych i najwspanialszych wypraw polarnych. Już dawniej stwierdzono, że prądy morskie przynoszą na brzegi Grenlandii kawałki drzewa z dalekiej Syberii. Gdy w r. 1882 znaleziono u zachodnich brzegów Grenlandii szczątki nieszczęśliwej wyprawy de Longa postawiona została hipoteza o istnieniu prądu posuwającego się od wschodnich wybrzeży Syberii przez morze nad Spitsbergenem i łączącego się z prądem wschodnio-grenlandzkim.

ZUCHWAŁA WYPRAWA NANSENA.

Na tej hipotezie oparł odważny pomysł nowej wyprawy polarnej wielki uczonec i badacz szwedzki Fridtjof Nansen (1861—1930). Postanowił on dać się uwieźć w lodach przy brzegach Syberii lub Alaski i pozwolić się nieść lodom z prądami. Sądził, że w ten sposób poprzez biegun północny przedostanie się do Europy i Grenlandii. Należało tylko zbudować tak silny statek, by wytrzymał ciśnienie napierających lodów; statek musiał być tak zbudowany, by olbrzymie ciśnienie lodu nie zgruchotały go, lecz wyciskały w górę na powierzchnię lodu, przy czym ster musiał posiadać specjalną ochronę przed spiętrzającymi się krami, które mogłyby go strząsnąć. Pod kierownictwem inicjatora wyprawy zbudowano taki statek. — „Fram” okazał się najsilniejszym i najlepszym statkiem polarnym, który wyszedł zwycięsko z niejednej dalekiej i długotrwałej wyprawy.

W lecie 1893 roku wyruszył Nansen z dwunastu dzielnymi towarzyszami na niebezpieczną wielką przygodę dalekiej północy. Większość badaczy uważała śmiały pomysł Nansena za szalony i przewidywano tragiczny koniec wyprawy. Rzeczywistość jednak okazała się inną. Nansen popłynął wzdłuż wybrzeży północnej Azji aż poza przylądek Czeluskin, po czym skierował się ku północy. Z końcem września wskutek nadchodzącej zimy polarnej „Fram” został uwieczony w lodach i zgodnie z przypuszczeniami Nansena zaczął wraz z lodami posuwać się w kierunku północno-zachodnim. W tej powolnej, lecz nieraz niebezpiecznej podróży spędził śmiały żeglarz dwa lata. Gdy statek znajdował się już pod 84° szerokości geograficznej północnej, Nansen zorientował się na podstawie czynionych obserwacji, że do bieguna lody go nie zaniosą. Wtedy decyduje się na prawdziwie szalony i ryzykowny krok. — W towarzystwie tylko jednego uczestnika wyprawy Johansena wyrusza w stronę bieguna. Podróż odbywa częściowo na saniach przy pomocy psów, częściowo zmuszony jest używać kajaka. — Po trzechtygodniowej wędrówce Nansen dotarł do 86°, zbliżając się do bieguna na odległość 420 kilometrów. Tak blisko nikt przed Nansenem nie dotarł. Musiał jednak rozpocząć odwrót, gdy stwierdził, że całe pole lodowe, na którym znajdował się, posuwa się ku południowi. Po wielu trudach i przygodach, w które obfitował ciężki powrót, dotarłi wreszcie do Ziemi Franciszka Józefa. Tu musieli zdecydować się na przezimowanie. — Zbudowawszy sobie prymitywne schronienie wśród lodów przebyli w lodowej pustyni okres przeszło pół roku. Z przygód, które spotkały Nansena i je-

go towarzysza w drodze powrotnej, najgroźniejsza była ta, kiedy ich chronometry stanęły. Nie mogli bez nich oznaczyć kierunku dalszego marszu i zguba obu dzielnych badaczy wydawała się nieunikniona. Niespodziewanie jednak natknęli się na angielsk. podróżnika Jacksona, który tam oczekiwał na przybycie statku. To uratowało im życie. Rzeczywiście niedługo przybył oczekiwany statek i przewiózł ich do ojczyzny. Tymczasem statek „Fram” posuwany prądem dotarł prawie do 86 szer. geograf. półn., po czym został zepchnięty tku południowi i w lecie 1896 r. przybył cało do Norwegii.

Wyprawa Nansena miała niezmiernie doniosłe znaczenie dla wypraw polarnych. Przywiozła ona wiele systematycznie zbieranych obserwacji naukowych zwłaszcza dotyczących prądów morskich i meteorologii. Stwierdzono również, że Ocean Lodowaty nie jest morzem płytkim, jak sądzono dawniej, oraz że życie sięga niemal aż pod biegun. Książka Nansena „Wśród nocy i lodów”, w której

opisywał swe przejścia i przygody, ukazała się w wielu wydaniach i licznych przekładach i przez długi czas cieszyła się wielką popularnością i poczytnością. Wyprawa Nansena pobudziła i innych podróżników, którzy postanowili również wyruszyć na daleką północ. Z podjętych prób, które nie mogły wykazać się większymi rezultatami, największą była wyprawa włoska znanego podróżnika księcia Abruzzów Ludwika Sabaudzkiego. Statek „Stella Polare” z załogą norweską wyruszył w lecie 1899 r. i zatrzymał się przy północnym brzegu Ziemi Franciszka Józefa, gdzie musiał przezimować. Na zdobycie bieguna postanowiono wyruszyć posługując się saniami i zaprzęgami psów. Mimo ofiar w ludziach nie zdołano jednak posunąć się wiele dalej, aniżeli to powiodło się Nansenowi. Zbyt trudne do przezwyciężenia przeszkody zmusiły wyprawę do odwrotu. Przyroda dalekiej północy okazała się silniejsza od człowieka, który jeszcze raz musiał zrezygnować ze swych zamierzeń. Biegun pozostawał dalej niezdojany.

J. A. Radecki

Młodzież komsomolska

Hasło: — młodzież, to przyszłość narodu, rozbrzmiewa dziś po całym świecie, a jego realizacji dokonują rządy państw totalnych w sposób bezwzględny na podstawie określonych ściśle założeń ideologicznych. Sowiety wychowują swoją młodzież na zasadach marksistowskich czy leninowskich, wiedzą bowiem, że tylko wychowanie młodzieży zabezpiecza im przetrwanie. „Sprawa wychowania młodzieży — powiedział Lenin w 1920 roku — jest sprawą niezmiernie wagi, jest sprawą naszego życia i światowej rewolucji. Młodzież powinna stać się potężnym bojowym oddziałem, dążącym do przeobrażenia świata”. Dekretem Lenina z 17 października 1919 r. powołano do życia nową organizację ideowo-wychowawczą pod nazwą: „Komsomol”, mającą skupić w sobie całą młodzież „proletariacką”. Siłą rzeczy reszta młodzieży (76 proc.) mająca piętno „burżuazyjne” pozostała poza nawiasem w ogóle życia. Nie mogła ani kształcić się, (przyjmowano do szkół tylko młodzież z legitymacją komsomolską), ani pracować, unikano jej jak zarazy. Większość tej „skompromitowanej pochodzeniem” młodzieży, musiała uchodzić za granicę, gdzie wspomagana przez organizację „Prometeusz” (org. wszystkich emigracji mniejszościowych rosyjskich poza granicami) kształciła się, albo organizuje się tworząc szereg samokształcących kół.

Zajmijmy się jednak młodzieżą uprzywilejowaną z „komsomolu”.

ŚLEPE POSŁUSZEŃSTWO.

Troska władz sowieckich o tę młodzież jest wielka. Stworzono dla niej szereg szkół, zakładów wychowawczych, organizacji przyjaźni młodzieży itd. Stworzono olbrzymią organizację KUŹD — „Komisja Neutszenija Żytia Dietiej” (Komisja polepszenia życia dzieci), której zadaniem jest troska o zdrowie młodocianych. — Ale takich KUŹD-ów jest tylko dwa: w Moskwie i Leningradzie. Szczególnie zwrócono uwagę właśnie na te okręgi, jako centrum całego życia bolszewickiego. W pobliżu zaś tych centrów pleni się ciemnota i zaniedbanie kulturalne.

Jeśli chodzi o szkolnictwo sowieckie w ogóle, to stworzono system wychowania ciasny, ściśle „marksistowski”, a przede wszystkim wymagano ślepego posłuszeństwa, wszelkie zaś „ukłony” w inną stronę karano surowo. Gimnastyka, wychowanie fizyczne i przysposobienie wojskowe, stało się trzonem całego nauczania. A jeśli mi ktoś zarzuci, że w Moskwie są także instytucje popierające wynalazczość i inicjatywę twórczą wśród młodzieży, to z czystym sumieniem odpowiem, że jest to zrobione na pokaz, dla zagranicy.

Samodzielna myśl została zabita. Zrodziło się niewolnictwo myśli, posługujące się cudzą myślą, zabita została młodzieńcza fantazja, energia i twórczość. Stworzono typ starego-młodzieńca. Stworzono „robotę”, wykonywującego wszystko ze ślepego posłuszeństwem. „Robot” ten zdawał się być groźnym dla kultury europejskiej. Zdawało się, że lada chwilę robot ten o mocnych barkach i szerokich klatkach piersiowych zaleje Europę i zniszczy całą cywilizację.

Młodzież zaczęła wykazywać najwięcej czynnego udziału i inicjatywy na boisku i na strzelnicy, lecz nie w szkole. 28 proc. wstępujących jeszcze przed 10 laty na uniwersytet leningradzki nie umiało napisać wogóle zadania, a 16 proc. napisało z błędami gramatycznymi („Izwestia” — list. 1927 r.). Poziom intelektualny tej młodzieży jest pożałowania godny. Na uniwersytecie mińskim 38 proc. w ogóle nie czyta gazet. Gazety sowieckie zaczęły utyskiwać na typowo rosyjską „nierazbiericę” i bierność młodych. „Ta nasza młodzież — pisze wówczas Łunaczarskij — pierwsza w pochodzie nowej cywilizacji, stoi teraz na brzegu przepaści”. A największą może bolączką i tragedią jej jest to, że wypielegnowano w niej instynkt donosicielstwa i szpiegowania wśród kolegów, starszych a nawet rodziców. „Czarnomorska Komuna” (wrzesień 1928 r.) z entuzjazmem zaznacza, że „Osip Farkin wydając gniazdo naszych wrogów klasowych, znajdujące się u jego rodziców, powinien stać się wzorem dla wszystkich...” (Ciąg dalszy nastąpi).

Adam Bar

Wśród książek

Wśród modnych dzisiaj romansów biograficznych książka Valeriu Marcu, pt. „Machiavelli, szkół władzy” (tł. M. Tarnowskiego, wyd. Płomień) niewątpliwie wyróżnia się korzystnie. Epoka włoskiego odrodzenia nęciła już nieraz historyków i powieściopisarzy. Zawili spłot ówczesnych stosunków, warunki politycznego i kulturalnego życia drobnych państw włoskich, prowadzących ze sobą otwartą lub utajoną walkę, a wreszcie nowa konfiguracja poglądów, na tle powstawania „nowego człowieka” — to bezsprzecznie zjawiska, które mogły pociągnąć nie tylko głębokiego badacza, doszukującego się logicznych związków między poszczególnymi faktami historycznymi, ale również pisarza, pragnącego to, czego praca naukowca nie rozświetli, swoją fantazją dopełnić. Książka o Machiavellim nie jest fantazją, autor doskonale zaznajomiony z duchem ówczesnej epoki, a również odczuwając psychologię ówczesnego człowieka, stara się wszystko opowiedzieć z dokładnością sumiennego historyka, który nie zmyśla faktów, ale chce przy pomocy obiektywnego wiązania zdarzeń stworzyć prawdziwy i rzetelny obraz włoskiego odrodzenia. Opowiada nie koncentruje się koło dziejów Florencji, ojczyzny Machiavella, genialnego polityka, który wytyczył drogi nowoczesnej dyplomacji. Historia Medyceuszów, tragiczna śmierć Savonaroli, stosunek Florencji i miast włoskich do Francji, Aleksander VI, Katarzyna Sforza — to barwny obraz ówczesnej epoki, w której genialne myśli graniczyły z wyrafinowanym okrucieństwem, wzniosła sztuka z chytrą zdradą i żądzą władzy. Rola

Machiavella w tym chaosie wielkiej polityki i małych, egoistycznych ambicji występuje w książce autora bardzo plastycznie. Nie rzucając kamieniem potępienia na jednych, ni też wybielając innych, autor stara się odszukać źródła poglądów tych czasów i pokazać człowieka, którego tworzył nowoczesny świat humanistycznej myśli.

Nasilenie współczesnego życia sporą dozę problemów polityki społecznej, wygrywanej szeroko skalę swoich dążeń na powikłanych stosunkach dzisiejszego człowieka, wytworzyło również nową literaturę problemów. Przyszły historyk obecnej epoki niewątpliwie będzie musiał sięgnąć również skwapliwie do poezji jak i powieści, która dostarczy mu wiele charakterystycznych rysów, rzucających silne światło na współczesnego człowieka. Nie da się zaprzeczyć, że powieść jest nie byle jakim zwierciadłem epoki, z której wyrosła. Do tej literatury należy również nowa powieść Andrzeja Struga, pt. „Miliardy” (wyd. Gebethner i Wolff). Strug przemyślał te wszystkie czynniki, które składają się na dzisiejszego człowieka, i może nie bez racji przerzucił akcję swojej powieści na teren Ameryki, bo niewątpliwie tam należy szukać najistotniejszych rysów wszystkich powikłań współczesnego życia. Odtwarzanie najistotniejszego stosunku do rzeczywistości, pozbawionego jednostronnych, demagogicznych naświetleń, szukanie prawdziwego człowieka wśród ogólnego oświecenia duchowego, szalbierstwa czy wyzysku i gwałtu, to jest właściwy sens powieści Struga. Trudno ją streścić. Akcja rozwija się na różnych odcinkach życia amerykańskiej rzeczywistości, losy milionerki Lucy Slazenger, jej syna odnajdującego w sobie pod wpływem niespodziewanych przeżyć nowego człowieka, i jego ojca bandyty a zarazem artysty-malarza, historia niekorowane-

go władcy Ameryki Shurmana, kapitalistycznego reformatora van der Zupena, robotnika portowego Metcalfa, tancerki Iny i wiele innych drobnych scenek dalszoplanowych, przesuwają się przed czytelnikiem, jak na sensacyjnym filmie. Na tle tych wypadków rozwija się tragiczny obraz człowieka, duszącego się w potężnych plotach kryzysu ekonomiczno-przemysłowego i duchowego, człowieka, który w rozpaczliwych wysiłkach walczy o prawo do życia, trapiętego koszmarną wizją pieniądza. Strug ze spokojem bezstronnego obserwatora przeprowadza analizę współczesności, szuka logicznych powiązań między szarą i tragiczną rzeczywistością, i istotną wartością dzisiejszego człowieka. Nie zbliża się do dręczących zagadnień z gotowym sądem, jak amerykański pisarz Upton Sinclair, o którym zresztą mówi z pewną ironią (Kain Fancher), ale, nie tając swoich sympatii lewicowych, pragnie zachować pewien niewątpliwie rzucający się w oczy dystans obiektywizmu. Powieść Struga jest po brzegi naładowana problematyką i niepojętymi pytaniami. Jaki będzie ostateczny sąd pisarza — to trudno powiedzieć na podstawie pierwszego tomu powieści, który się teraz ukazał. Zdawałoby się jednak, że wyraźnie zarysowana problematyka będzie obniżała do pewnego stopnia artystyczne wartości utworu. Tymczasem jest wprost odwrotnie. Powieść Struga łączy ideologię z wysoką klasą artystyczną. Doskonała budowa, zręczne wiązanie wieloplanowych wątków opowiadania, podejście do różnych tematów od strony psychologicznej, świetna, nie pozbawiona sporej dozy szczegółów charakterystyka poszczególnych postaci, to są bezsprzecznie zalety, które powieści Struga zapewniają wybitną pozycję we współczesnym powieściopisarstwie polskim.

Ile musiał przeżyć, jak się musiał przełamać, aby zdobyć się na taki czyn, łatwo sobie wyobrazić. Wszystko to stwarza atmosferę niesłychanie ciężką w szkole — atmosferę nie do zniesienia. Szczerść w naszym pojęciu zniknęła wśród młodzieży komunistycznej. Jeden u drugiego dopatruje się urojonego „wroga klasowego”. Stąd pochodzi w nich niespotykana dotąd bojaźń i wzajemny brak zaufania. Rozmowa kolegi z kolegą podobną jest do rozmowy sędziego śledczego ze złodziejem.

INSTYTUCJA SAMORZĄDU.

Przyszła zmiana (1928 r.). Wrodzona broń młodzieży — instynkt, przyszedł z pomocą. Zaczęła domagać się praw należnych. Z drugiej strony potrzeba jak największej ilości konfidentów do przeprowadzania „czystek” partyjnych, zmusiła władzę bolszewicką do wprowadzenia młodzieży na teren polityki. Powitała to młodzież z entuzjazmem. I trzeba przyznać, że komsomoicy oddali wówczas partii olbrzymie usługi. Wywiązała się ze swego zadania wyśmienicie. Ale kij ma dwa końce. W konsekwencji bowiem nastąpiło niezwykle wprost rozpolitykowanie młodzieży, a równocześnie młodzież poczuła twarde grunto pod nogami. Stała się potrzebną. Bez wielkich trudności uzyskała „samorząd szkolny”, który ustanowiła prawa tak towarzyskie, jak i moralne w obrębie szkoły. Wiadomym jest, że uczniów wychowuje nie tyle nauczyciel, ile klasa. I właśnie „klasa” została dyktatorem szkoły. Ona przyjmowała i oddalała nauczycieli(!) Wartość tej „metody wychowawczej” zilustruje najlepiej następujący wypadek opowiedziany mi przez dobrego znajomego z czasu mojego ostatniego pobytu na Krymie.

Student i profesor zakochali się w jednej studentce. Powstała konkurencja nie przebiegająca w środkach. Szala powodzenia przechyliła się w sercu studentki w stronę profesora. Ale od czego „samorząd”? Student kaptuje kolegów, wtajemnicza w swoje plany, i gdy sobie zapewnił pomoc klasy, podaje wniosek do samorządu o wykluczenie profesora z grona nauczycielskiego. Motywuje go tym, że profesor działa na szkodę sowieckiego ustroju, że rozbudza w młodzieży instynkty burżuazyjne, że źle uczy itd. Rozprawa toczy się przed „wysokim” sądem uczniowskim. Profesor tłumaczy się i zaklina, że o czymś podobnym nawet nie myślał. Pomimo tego wyrok wypada niekorzystnie dla profesora. Wniosek wydalenia zatwierdza komisariat szkolny i profesor idzie „na zieloną trawę”; umarł śmiercią cywilną.

Łunaczarskij miał rację. Młodzież komsomolska znalazła się rzeczywiście nad brzegiem przepaści. To też zrozumiałe są obawy dekretu z dnia 17 czerwca 1935 roku, głoszące reorganizację młodzieży komsomolskiej. „Komsomoł — czytamy w nim — powinien pamiętać, że wróg klasowy przedarł się do szeregów naszej młodzieży, a to do tego stopnia, że zaszła potrzeba reorganizacji i zmiany dotychczasowego kierunku ideowego... Trzeba skończyć z politykierstwem, trzeba pójść w kierunku ideowo-wychowawczym, do prawdziwie pozytywnej pracy twórczej dla państwa... Zadaniem waszym będzie dbać o bolszewicką czynność, wysoko dzierżyć sztandar Lenina...”

Z powyższych słów wynika milczące potwierdzenie prawdy, że szeregi komsomolskie uległy demoralizacji.

BUNT.

W dwa dni po dekreście pisze „Komsomolskaja Prawda” niesłychanie napastliwy artykuł na „dotychczasowy” „Komsomoł” — wykazując mu „brak ideologii”, „skłonności-burżuazyjne”, „lekceważenie wrogów klasowych”, brak „jedności i „chęci zwycięstwa” itd. Jednocześnie pokasowano wszystkie sekcje polityczne, a wprowadzano nowe, jak młodzieży akademickiej, robotniczej, wiejskiej, szkół średnich.

W powieści naszej wrzenia rewolucyjne w Królestwie Polskim ogniskowały się dotychczas wyłącznie do wypadków z r. 1905, dlatego, że te właśnie wypadki otwierały wiele możliwości efektownych i dramatycznych scen. Gustawa Jarecka w swojej nowej powieści pt. „Ludzie i sztandary” (wyd. J. Przeworskiego) odstąpiła od tradycyjnego szablonu, unika łatwizn i efektowności opowiadania, odrzuca też metodę jaskrawych zaostreń uwagi czytelnika przez prowadzenie silnych przeciwieństw w grupowaniu ludzi i losu, który ich życiem rozporządza. W jej powieści nie ma bohaterów, postaci rysowanych na miarę olbrzymów, są za to prawdziwi ludzie, których się widzi, których nie trzeba sobie wyobrażać, tak są plastyczni i — tak bardzo zwyczajni. Prosta w odtwarzaniu wypadków, pozbawionych wszelkich dramatycznych efektów, to niejako odbrazowywanie ówczesnych ludzi jest najcharakterystyczniejszą cechą powieści Jareckiej. Wątek snuje się na kilku płaszczyznach. W szarym życiu warszawskiego przedmieścia rośnie mały Żelazko, w którego prostym życiu tylko od czasu do czasu zjawia się pamięć o ojcu, zmarłym na Sybirze. Styka się z konspiracją rewolucyjną przez starego Łobzińskiego, który pamięta jeszcze r. 1905. I tutaj jednak nie ma wielkich haseł przerastających siłę ludzkich

Program pracy na przyszłość został ustalony przez Centralny Komitet Komsomolski z udziałem tow. Stalina (16. VIII. 1935 r.). Specjalny nacisk położono na „solidarność młodzieży proletariackiej”, na „walkę z wrogiem klasowym”, i na zabezpieczenie „Komsomołu” przed możliwością przeniknięcia niepożądanych elementów do jego szeregów. Jednym słowem nastąpił odwrót na całej linii.

Ale ciekawe, że jednocześnie z reformą narzuconą z góry przyszła zmiana i w psychice samej młodzieży, jakby odprężenie, jakby bunt... Pewnego poranku powiedziała sobie: — dość mamy rewolucji, dość mamy tej wiecznej „walki”, — chcemy tańczyć, i wiązać gustownie krawaty! Dołączyły się koleżanki wołając: — chcemy się bawić, używać perfum! perfumować się.

I o zgrozo! Zamiast bojowych pieśni komunistycznych poczęły z lokali organizacyjnych płynąć omdlewająco-melancholijne tony tanga. Natura domaga się swych praw.

Reorganizacja więc nie dała rezultatu. Młodzież przeszła teraz w drugą krańcowość; zamiast ślepego posłuszeństwa obrała bunt, zaczęła domagać się praw, zaczęła tańczyć, śpiewać, grać i t. d. I nie jest to oznaką przejściowego kryzysu; jest to raczej oznaką daleko sięgających przemian.

W państwie Stalina coś się popsuło. Kółka wielkiej maszyny zepsuły się, trzeba nowych. — W przyszłym budownictwie weźmie udział już i młodzież, a jej zdrowy instynkt wróży wielkie wydarzenia! Oby tylko na zgubę komunizmu.

Rozrywki umysłowe Nr 50/89

pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

ZAD. 1. — REBUS AKTUALNY (5 PUNKTÓW).

ul. „Kasta” — czł. Kl. Szar.



ZAD. 2. — SZARADA ADWENTOWA (2 PUNKTY).

ul. „Rex” — czł. Kl. Szar.

Z trój pierwszego, o świecie grudniowym
całość wzywa głos dzwonu z kościoła,
by do Ojca w Niebiesiech wnieść modły,
by zbawienie ludzkości zgotował.

Wznoszą modły o światło w ciemności,
by moc zczepia szatana-niecnoty,
cztery - trzecie - pierwszego ludzkości,
przez Chrystusa cierpienia Golgoty...

A świątynia świec jarzy tysiącem,
wspak dwa - jeden i czwarte skrzą złotem,
włóte - czwarte zaś wiernych klęczące
wraz z kadzidłem hymn wznoszą pod stropy.

ZAD. 3. — ZADANIE TELEGRAFICZNE (4 PUNKTY).

ul. W. Nosé — czł. Kl. Szar.

D. T. 3. M. L. I. Z. 1. U. 2. B. H.

Należy zastąpić powyższe litery i cyfry znakami telegraficznymi „Morse”, po czym pod kreskami i kropkami wpisać kolejno wyrazy o znaczeniu:

1. Kraj górzysty w Palestynie (starożytny, biblijny).
2. Członek rodziny.
3. Jeden z bohaterów powieści „Kandyd” — Wal-

ZAD. 4. — SZARADA Z CYKLU „SZARADY GEOGRAFICZNE” (5 PUNKTÓW).

ul. „Kasta” — czł. Kl. Szar. dla „Andrusa”.

Dziś na egzotyzm mam apetyt,
porzucam Bałtyk — Morze Czarne,
(do niego Piąty się przyczyna),
choć wimy nie mam...

Więc — niestety!
czwór - druga musi mi wystarczyć.
(Wspak sześć - czwór dałem za nią, zgadnij),
bo wykonana bardzo zgrabnie).

Już transportowca motor warczy...
Żegnaj, Północy! Pa! Odesso!
i ty, przyklepna piąta - pierwsza,
coś była od cysterny szersza:
prawdziwa piąta - szósta „s wiosom”
Trój - pierwszy - drugi, by oszalał,

tera, oznaczający jednocześnie człowieka optymistę, wszytkowiedza w przenośni.

4. Grecki wyraz oznaczający „pełnia sił”.
5. Narzecze prowincjonalne, dialekt, gwara.
6. mistrz w sztuce, artysta-muzyk.
7. Czas, pora.

Litery, przypadające w miejscach kropek, czytane w kolejności, dadzą w rozwiązaniu przysłowie polskie.

gdybyś proporcją go olśniła,
lecz (mimo to) ty byłaś miła,
sześć wspak - raz jesteś... „taką małą”.

Lecz jeśli są „nią” większe panie,
trzeba na rzeczy patrzeć prościej —
więc, wyjeżdżając do Gałoszi,
mówię „Pardon”... Uszanowanie...

KUPON Nr 50/89

ważny na grudzień r. b.

idealów; gdy mowa o strajku wypływają najistotniejsze instynkty człowieka, pragnącego ulżyć własnej doli, znękanego szarżyzną życia. Od czasu do czasu zjawiają się hasła walki politycznej, mowa o Polsce. Nie ma jednak bohaterstwa. Hasła stapiają się z prozą, są jej częścią, nawet nie porywają serc, nie rozpromieniają entuzjasmów.

Na innej znowu płaszczyźnie rozwijają się losy Marietty, żyjącej w atmosferze lojalizmu jej męża, oraz ugodowości, które jednak również zasłania przyziemną walką o dzień dzisiejszy. Snuje się też romans Marietty z młodym konspiratorem, dzieje miłości, która gaśnie spłoszona wypadkami, zjawiającymi się z wybuchem wojny światowej. Jak dalej potoczą się dzieje Leona, którego wojna uwalnia z więzienia, czy też Heńka Żelazki, niewiadomo, ponieważ ukazał się na razie pierwszy tom powieści Jareckiej, który jest poświęcony ojcom, gdy drugi będzie przedstawiał dzieje synów. Ale już ten pierwszy tom świadczy o odmienności podejścia do tematu, starannie oczyszczonego z wszelkiej tendencyjnej propagandy, oraz oryginalny stosunek autorki do ludzi i życia z czasów przedwojennych. Wrażenie jednak dość często osłabia styl powieści. Jarecka nie umie swoich myśli wyrazić jasno i prosto, wszędzie posługuje się barokiem, w którym tonie niejedna scena

i niejedna myśl zostaje zaciemniona. Oto przykład: „Ze stołu znikła ociężałość rozłożonych półmisek i pobjowiska mięsa i jarzyn na okrągłych wspanych talerzach”. A przecież w ten sposób jest napisana cała powieść.

Już w pierwszej powieści Janiny Brzostowskiej, pt. „Bezrobotni Warszawy” odzywały się silne tony społecznej tendencji, w obecnie zaś wydanej p. t. „Kobieta zdobywa świat” (wyd. Hoesicka) ta nuta odzywa się po raz drugi. Nie umiem sobie wytłumaczyć dość pompatycznego tytułu powieści, zbyt słabo związanej z jej treścią. Nie idzie jednak o tytuł, ani też nawet o treść. W świetle końcowej wartości społecznej akcja błędnie, traci znaczenie, służy tylko jako środek, do obudzenia świadomości, że w dzisiejszych czasach silnie naelektryzowanych tarciami społecznymi, w których każdy czyn i każda myśl powstaje pod naciskiem troski nie o jutro, ale o najbliższe dzisiaj, gasną wszelkie utopijne ideały, ustępując szarej konieczności.

Ta społeczna, zasadnicza idea powieści, silnie na końcu podkreślona, wpływa u autorki z głębokiego altruizmu, który jest gotów do poświęcenia wszystkich wartości w życiu człowieka dla ulżenia doli bliźniego.

Ż y c i e r e l i g i j n e

Przegląd spraw religijnych

„Front Ludowy“ hiszpański w wielu wypadkach okazał zupełny brak humanitaryzmu i kulturalnych obyczajów. Mordy spełniane na ludności cywilnej bez sądu, cyniczna walka z religią, niszczenie kościołów i historycznych zabytków, to ogólnie znane jego w tej dziedzinie wyczyny. Ale kto wie, czy kiedyś historyk tych wypadków nie powie, że największym jego barbarzyństwem było to, co zrobił z dziećmi baskijskimi...

Jakżeż się to odbyło?

TRAGIZM DZIECI BASKÓW.

Oto — opowiada Katolicka Agencja Prasowa C. P. — wtedy, gdy wojska jen. Franco zbliżały się coraz bardziej do Bilbao, stolicy kraju Basków, emisariusze „Frontu Ludowego“ zaczęli obchodzić dom za domem i zachęcać rodziców dzieci zebranych tu z całej prawie prowincji do wysłania dzieci za granicę. A to z powodu, że wojska jen. Franco nie oszczędzają nikogo, nawet dzieci, a sam ich wódz jest po prostu potworem. Wielka jest siła przerażenia wojną, jeśli ci biedni Baskowie uwierzyli tym bredniom i — zapewne nie z lekkim sercem — oddali emisariuszom lewicy swoje dzieci. Jest to prawdziwie niepojęte, jak to mogli zrobić, jak rodzice zdecydowali się zostać, a dzieci pozwoili wywieźć. Przecież, jeśli już jen. Franco jest takim potworem, jakim go „Front Ludowy“ przedstawia, to — logicznie myśląc, należało sądzić, że jego zemsta ścigać będzie nie dzieci niewinne, ale starszych... Dość na tym, że dzieci całymi masami (mówi się o kilkunastu tysiącach) pakowano pospiesznie na autobusy, do wagonów kolejowych, żeby je wywieźć za granicę. Dokąd? Otóż to; dziś nawet nie wiadomo, gdzie się niektóre partie tych dzieci znajdują. W Belgii, we Francji, w Anglii, — ale, gdzie?

PIERWSZA PARTIA.

Wreszcie wojska jen. Franco zajęły Bilbao. — Pierwsze dni po ich wejściu musiały być dla ludności przykre: „Prawo wojny...“ Ale wnet zaplanowały ład i bezpieczeństwo. I wtedy z kół rodziców wyszło pytanie, które rozlegało się z łamów prasy i na wsi: — gdzie dzieci? Najprędzej dowiedziano się o dzieciach wywiezionych do Anglii. A to z tego względu, że Anglicy przekonawszy się, że stosunki w kraju Basków wracają do normy, postanowili czym prędzej odesłać dzieci do domu. Równocześnie zaś reprezentant Stolicy Apostolskiej przy rządzie jen. Franco, mgr. Antoniutti, nawiązał bezpośredni kontakt z katolicką Anglią (arcyb. Hinsleyem) i działając w imieniu rodziców, którzy go o to zbiorowym pismem prosili, zażądał zwrotu dzieci.

Pod koniec listopada wróciła do kraju pierwsza znaczniejsza partia tych dzieci. Agencja C. P. podaje ciekawy opis ich powrotu.

Dzieci wróciły zdrowe i dobrze ubrane; Anglicy okazali im dużo serca. Wróciły z radością, jak — po wakacjach do szkoły. Przez całą Francję (droga trwała 36 godzin) zgłaszały się do nich delegacje francuskie „Frontu Ludowego“, aby je „krzepić na duchu“ i t. p. Wreszcie hiszpańscy opiekunowie dzieci mieli tego za wiele, — zwłaszcza, gdy socjaliści w Bordeaux obchodząc wagon opowiadali dzieciom, że Franco strzela wszystkie dzieci przeciwnej strony. Na żądanie opiekunów władze kolejowe przestały dopuszczać delegacje „Frontu Ludowego“ do wagonów.

SZCZĘŚLIWY POWRÓT.

Na granicy, w Hendaye, oczekiwali ich Mr. Antoniutti, właściwy sprawca ich powrotu. Panie z „Pomocy Społecznej“ zajęły się dziećmi, których droga odtąd zmieniła się w powrót triumfalny. W St. Sebastian w kościele Karmelitów zgromadziła się cała dzieciarnia, aby Bogu podziękować za szczęśliwy powrót. Z St. Sebastian jest jeszcze 120 klm. drogi do Bilbao. Przebyły ją dzieci prawie całą wśród szpalery uszczęśliwionej ludności.

Wjazd do Bilbao zostawił — pisze korespondent C. P. — niezapomniane wrażenie. Ulice pełne ludzi, entuzjazm ogólny, domy udekorowane, mu-

zyki, sztandary, tramwaje przybrane w kwiaty... Dopieroż powitanie dzieci przez rodziców! Płacz ogólny. Płakali ci, którzy się nareszcie doczekali widoku swoich dzieci. Także ci, którzy w powracającej grupie nie znaleźli swojego dziecka.

Tak — wojna domowa jest zawsze nieszczęściem. Większym od zewnętrznej. Ale rzadko w której wojnie domowej tyle popełniono bezmyślnej brutalności i tyle okazano nieludzkich uczuć, co w tej. Perypetie biednych dzieci uciekających ze swej ojczyzny przed armią narodową — to jeden z najprzykrzejszych pewnie tej wojny epizodów.

Pejot

Z obcej niwy

Parafie, jako filary polskości w Stanach Zjednoczonych

„Dziennik Zjednoczenia“ wychodzący w Chicago, poświęca dłuższy artykuł parafiom polskim w Stanach Zjednoczonych.

„Wychodźstwo polskie w Stanach Zjednoczonych — pisze — zdobyło mocne podstawy materialne i pochłubić się może pięknym dorobkiem społecznym, kulturalnym i religijnym. Wiele trudności musiał od samego początku emigrant polski przy tym przezwyciężyć. Do Ameryki przybywał nieoświecony, słabo uświadomiony narodowo, a niejednokrotnie nie posiadający zupełnie poczucia odrębności narodowej. Na zapytanie urzędnika imigracyjnego o narodowość, chłop polski odpowiadał nieraz „Katolik“, lub „spod Ruska“, „spod Prusaka“ lub Austriaka“. Zgubiony zaś w obcym środowisku Polak-wychodźca szukał takich jak on sam ludzi, mówiących tym samym językiem, wyznających tę samą wiarę. — I gdziekolwiek tylko osiadł na terenie amerykańskim grupki Polaków, łączyli się w zwartą i odporną całość za pomocą czterech spoidel narodowych: przez kościół, szkołę, stowarzyszenie i prasę. A te spoidła stawały się znów filarami, na których wsparło się społeczne życie polskiego wychodźstwa. Trzy ostatnie filary skupiały się często koło pierwszego, koło kościoła, będącego ośrodkiem polskiej parafii.

Z dziejów wychodźstwa wiadomo, że pierwszą potrzebą duchową skupienia polskiego był kościół i ksiądz-Polak. Emigrant nasz odczuwał bardzo silnie brak rozumiejącego go kapłana. Toteż zaraz na początku osiedla polskie przystępują do budowania choćby skromnej kapliczki, plebanii, hali i szkoły parafialnej. Cała praca społeczna, kulturalno-oświatowa a nawet życie towarzyskie osady ogniskuje się początkowo przy parafii. Rola kapłana na wychodźstwie staje się bardzo odpowiedzialna; zależnie od moralnych, społecznych i narodowych kwalifikacji proboszcza rozwija się słabiej lub silniej życie kulturalno-narodowe danej parafii. Przy parafii powstają różne stowarzyszenia i organizacje społeczno-samopomocowe, które później w miarę rozwoju przyjmują charakter ogólnokrajowy, obejmują różne miasta i stany

Wychodźca polski wyruszając za granicę niósł ze sobą w duszy całą Polskę. A gdy na amerykańskich wyrebach budował pioniersko własnoręcznie nową osadę dla polskiej gromady, nadawał jej nazwę polską, taką, jaką mają miasta polskie w Polsce. Stąd do dziś szereg parafii polskich w Stanach Zjednoczonych znajduje się w miejscowościach o urzędowych nazwach polskich. Gęsto rozsiane są w okręgu Wielkich Jezior i Nowej Anglii osiedla założone i ochrzczone przez Polaków. Miejscowość „Pułaski“ spotyka się 30 razy, dalej istnieje 21 miejscowości „Poland“, 18 „Warszawa“, 7 „Kościuszkę“. Z miast oprócz wymienionych jeszcze są: Gostyń, Wojciechowo, Danzig lub o nazwach imion: Casimir, Boles, Florian. Miejscowości noszą czasem wprost nazwiska: Petoskey (Potocki), Pawłowski, Bandoura, Kozłowski, Zalewski, Sandusky (Sadowski), Commiskey (Kamiński). Wreszcie nowe tak długie nazwy charakterystyczne, jak „Góra Radziwińskiego“ oraz „Wyspa Kaszubska“.

Obecnie ludność polską w USA obliczają na 4.500.000 dusz, przy czym Polacy stanowią jedną piątą ogólnej liczby katolików w U. S. A.. Polskich parafii w Stanach Zjednoczonych jest około tysiąca. Pierwszym kapłanem polskim, wyświęconym w Ameryce 16 marca 1795 roku był ks. August Galicyn, który zorganizował najstarszą w Ameryce parafię dla Polaków i Węgrów w stanie Maryland. Dalsi kapłani polscy napływali w początku XIX stulecia. Od długich też lat przywódcy wychodźstwa zabiegali o uzyskanie własnych biskupów, którzy

by mogli zapewnić należytą opiekę religijno-narodową, wychodźcom naszym. W tym celu odbyły się trzy polskie kongresy katolickie 1896—1904 w Buffalo i Pittsburgu. Wreszcie w roku 1908 ks. Paweł Rhode z Chicago, z pochodzenia Kaszub, został konsekrowany na pierwszego polskiego biskupa w Stanach Zjednoczonych. Później zostali mianowani ks. Bona w Grand Island i ks. Piagens w Marquette. Obydwaj są pochodzenia polskiego. Dalsze starania u Stolicy Apostolskiej o nowych biskupów nie ustają.

„Ujmując zwięźle zagadnienie parafii jako filarów polskości na wychodźstwie — kończy swój artykuł „Dziennik Zjednoczenia“ — trzeba przyznać i stwierdzić, że parafia polska była zasadniczą częścią organizacyjną wychodźstwa, często centralną a prawie zawsze niesłyszanie zasłużoną w bezinteresownym poświęceniu dla sprawy polskiej.“

Państwo chrześcijańskie w średniowieczu

Wtorkowy (7 bm.) wieczór dyskusyjny w Akcji Katolickiej w Warszawie, poświęcony był omawianiu zagadnienia realizacji idei państwa chrześcijańskiego w średniowieczu. Referat n. t. „Średniowiecze i jego ustrój polityczny jako wyraz ducha chrześcijańskiego“ wygłosił dr Karol Górski, docent U. P. Opierając się na Maritain'ie wyszedł prelegent z założenia, że człowiek należy do dwu światów: świata materii i wszechświata wolności. Państwo istnieje m. in. po to, by umożliwić człowiekowi rozwój osobowości. Rozwój ten może iść po linii zaufania do rozumu (intelektualizm) lub po linii zaufania do woli (woluntaryzm). Oba kierunki w skrajnych postaciach sprzeczne są z katolicyzmem.

Jeżeli chodzi o realizację idei chrześcijańskiej w życiu doczesnym to rozróżnić możemy w historii dwa zasadnicze kierunki: jeden reprezentowany przez starożytne chrześcijaństwo, drugi przez chrześcijaństwo średniowieczne.

Starożytnych chrześcijan cechowała zupełna niemal abstynencja polityczna, brak inicjatywy kulturalnej, wyłączone prawie nastawienie w kierunku pracy wśród maluczkich. W średniowieczu chrześcijaństwo wycisnęło swe piętno na wszystkich dziedzinach życia, weszło w politykę, w kulturę, w życie społeczne. Realizację średniowiecznego ideału historycznego chrześcijaństwa przeprowadzono zwycięsko w dwóch ostatnich dziedzinach. W dziedzinie polityki wysunięto zasadę dopuszczalności przymusu, władza państwowa uzyskała charakter sakralny (wobec pochodzenia wszelkiej władzy od Boga). Państwo średniowieczne nie było jednak państwem totalnym, władza monarsza nie była absolutna, chociaż doszukiwać się możemy w średniowieczu stosowania zasady wodzostwa. Totalnym był ustrój średniowieczny tylko w państwie krzyżackim, gdzie władza świecka łączyła się z kościelną. Dochodziła tu do zupełnego wypaczenia idei państwa chrześcijańskiego. Państwu krzyżackiemu przeciwstawić można jako antytezę sprawiedliwe państwo Kazimierza Wielkiego. T. zw. „redukcje“ paragwajskie OO. Jezuitów do pewnego stopnia tylko traktować można jako realizację idei państwa chrześcijańskiego, ponieważ pomyślane one były przede wszystkim jako dzieło misyjne. W ogóle państwo średniowieczne można uważać nie za realizację Państwa Bożego św. Augustyna, lecz jedynie za próbę urzeczywistnienia tej idei, według pojęć ówczesnych.

Dziś formułują się nowe ideały historyczne państwa chrześcijańskiego. Jeden z nich wychodzi z założenia personalizmu (dąży do pluralizmu form jedności moralnej), drugi z założenia totalistycznego (jedność wiary i władzy). Państwo chrześcijańskie, sprawiedliwe i silne, realizować jednak można poza ramami totalizmu.

ODCZYT O KRÓLOWEJ JADWIDZE W RZYMIE.

Z Rzymu donoszą: W przepełnionej sali odczytowej przy kościele św. Stanisława w Rzymie odbył się odczyt Matki Ledóchowskiej, przełożonej generalnej Urszulanek S. J. K. na temat znaczenia postaci królowej Jadwigi dla Polski i świata katolickiego. Odczyt nawołujący do wszczęcia w Rzymie procesu beatyfikacyjnego królowej Jadwigi, przyjęty został gorąco przez słuchaczy, wśród których obecni byli: generał O. O. Zmartwychwstańców, generał O. O. Bazylianów, przedstawiciele Zakonów: Franciszkanów, Benedyktynów, Karmelitów, Jezuitów, Dominikanów, Kapucynów oraz generalne przełożone żeńskich Zakonów Nazaretanek i Zmartwychwstańek. Obecni byli ponadto polscy profesorowie uniwersytetów papieskich oraz liczna kolonia polska świecka i duchowna. Odczyt poprzedzony był słowem wstępnym, wygłoszonym przez O. Topolińskiego, postulatora do spraw kanonizacyjnych O. O. Franciszkanów.